

Nowe przepisy mają wyciągnąć biogazowych inwestorów z kłopotów finansowych

Rząd rzuci koło ratunkowe?

Długi u dostawców surowców, brak pieniędzy na bieżącą działalność i strach, by banki nie wypowiedziały umów kredytowych, żądając natychmiastowej ich spłaty – tak wygląda codzienność wielu właścicieli biogazowni rolniczych. Choć od dawna alarmowali o swojej katastrofalnej sytuacji, dopiero teraz pojawiła się szansa na wsparcie ze strony rządu.

– Jestem w tragicznej sytuacji finansowej. Nie mam pieniędzy na nic. Wszystko, co zarobię, łąduję w biogazownię. Kupuję surowiec do produkcji biogazu od okolicznych rolników, ale jest coraz trudniej, bo od dawna zalegam im z zapłatą – nie ukrywa inwestor z centralnej Polski. Prosi o anonimowość, bo jak twierdzi, wstyd mu, że stał się całkowicie niewypłacalny. – A miał to być interes życia – dodaje rozgoryczony.

Nie on jeden wpadł w długi z powodu biogazowni. – *Żałuję, że wszedłem w ten biznes. Drugi raz nikt by mnie nie namówił – zarzeka się Grzegorz Grzyb, prezes spółki BioEnergy Project, która w 2012 r. zbudowała niemal 2-megawatową biogazownię w Konopnicy (woj. łódzkie). Instalacja kosztowała ok. 30 mln zł. Co prawda, 18 mln zł spółce udało się pozyskać z unijnych funduszy, nie obyło się jednak bez bankowego kredytu. – Bank oczekuje spłaty niezależnie od sytuacji. Nie wnika, skąd weźmiemy na to pieniądze – dodaje prezes.*

Wśród 71 oddanych do tej pory do użytku biogazowni, widniejących w rejestrze Agencji Rynku Rolnego, jest też instalacja o mocy 1,2 MW w Koczergach na Lubelszczyźnie. W ubiegłym roku została ogłoszona jej upadłość z możliwością zawarcia układu. – *Toniemy, wszyscy po kolei, od 2012 roku, i nikt do tej pory nie rzucił nam koła ratunkowego – nie ukrywa żalu inwestor z centralnej Polski.*

Poniżej opłacalności

Kłopoty biogazowni rozpoczęły się ponad trzy lata temu. Wówczas stabilna dotąd cena zielonych certyfikatów, kształtująca się na poziomie 260-280 zł/MWh, zaczęła gwałtownie spadać, by na początku 2013 r. osiągnąć cenowe dno – przez moment nawet 99 zł/MWh. W połączeniu z pieniędzmi otrzymywanymi za sprzedaż energii elektrycznej zyski inwestorów stopniały nagle z około 480 zł/MWh do niespełna 300 zł/MWh. – *Dziś za certyfikat otrzymujemy około 118 zł/MWh, a za sprzedaż energii mniej więcej 170 zł/MWh. Nasz przychód jest więc średnio na poziomie nieco ponad 280 zł/MWh. Tymczasem taki, który pozwalałby na przeżycie, powinien być w granicach 400-500 zł/MWh – wylicza Grzegorz Grzyb i przyznaje,*

że nie ma już serca do tej instalacji. – Trzeba mieć jakąś satysfakcję finansową, a ja od dawna jej nie mam. Mam tylko zmartwienia.

Przedsiębiorcy od początku kryzysu apelowali do rządu, by – skoro wcześniej namawiał ich do inwestowania w biogazownie rolnicze – zechciał pomóc, gdy okazało się, że nie są żyłą złotą.

– Niestety, przyjęta na początku zeszłego roku ustawa o OZE okazała się zlepkiem nieuporządkowanych myśli,

REKLAMA



Czarne chmury nad biogazowniami rolniczymi ma szansę rozwiązać rządowy projekt nowelizacji ustawy o OZE

W tym chaosie prawnym naszej branży nie sposób było się odnaleźć – mówi wprost Sylwia Koch-Kopyszko, prezes Unii Producentów i Pracodawców Przemysłu Biogazowego. – Przez lata czekaliśmy na stabilny system wsparcia. Tymczasem rządy PO-PSL nie przyniosły jasnych, przejrzystych rozwiązań. Nie liczone się również z naszymi opiniami i propozycjami. Większość z nich została odrzucona – przyznaje z żalem. Chodziło m.in. o to, by dla biogazowni rolniczych organizowane były oddzielne aukcje. – Nowy system preferuje najtańsze technologie. Największe szanse na wygraną miałyby więc współspalanie węgla z biomasa, za którym stoją spółki Skarbu Państwa posiadające w dużej mierze zamortyzowane instalacje. Rząd wspierając współspalanie chciał sztucznie wypełnić unijne zobowiązanie polegające na produkcji 15 procent energii z odnawialnych źródeł do 2020 roku – wyjaśnia.

Dodatkowy obowiązek

Pod koniec kadencji poprzedniego rządu, na początku kampanii wyborczej, PSL zaproponowało nowelizację ustawy o OZE, w której zawarta byłaby pomoc dla istniejących już biogazowni rolniczych. Grupa ludowców złożyła w połowie czerwca w Sejmie projekt, który przewidywał wprowadzenie od nowego roku dodatkowego obowiązku umarzania świadectw pochodzenia energii elektrycznej wytworzonej właśnie w biogazowych instalacjach. – Nasze rozwiązanie, poprzez wzrost przychodów, zapewni im stabilne funkcjonowanie – przekonywała wówczas Krystyna Ozga z PSL, która w tej kadencji nie znalazła już miejsca w Sejmie.

Pierwotnie projekt zakładał, że z obowiązkowego udziału 15 proc. OZE, którym muszą wykazać się sprzedawcy energii, 0,35 proc. miałyby pochodzić z biogazowni rolniczych. – To niewiele, ale mało jest też instalacji – uzasadniała Ozga. Podkreślała jednak, że w kolejnych latach minister właściwy ds. energii mógłby zmieniać wysokość tego obowiązku. Takie rozwiązanie podniosłoby cenę zielonych certyfikatów dla biogazowni do wysokości opłaty zastępczej, czyli ok. 300 zł.

W sierpniu PSL stwierdziło jednak, że warto byłoby zacząć od poziomu 0,45 proc., a następnie podnieść go do 0,55 proc. Skąd akurat taka wysokość obowiązku? – Do jej wyliczenia przyjęliśmy łączną moc działających już biogazowni rolniczych, pomnożyliśmy ją przez 8 tysięcy godzin pracy instalacji w roku, przy założeniu, że ich sprawność przekracza 91 procent. Uzyskany wynik podzieliliśmy przez ilość energii sprzedawanej w ciągu roku odbiorcom końcowym, uwzględniając w tym ulgę dla podmiotów energochłonnych – tłumaczyła była posłanka.

Wyliczenia te spotkały się nie tylko z aprobatą środowiska biogazowego, ale również ówczesnego rządu, a nawet opozycji. Pozytywnie wypowiadało się o nich PiS.

Wsparcie dla wybranych

PSL nie zdążyło jednak przed końcem kadencji wdrożyć swojego pomysłu w życie. – Znów zaczęliśmy żyć w niepewności – przyznają inwestorzy. Wybory wygrało jednak przychylnie biogazowniom rolniczym PiS, które natychmiast ogłosiło, że będzie dążyć do uratowania zagrożonych bankructwami instalacji. – Są one, w przeciwieństwie na przykład do wiatraków, najbardziej stabilnym źródłem energii odnawialnej. Co więcej, zatrudnia się w nich od kilku do kilkunastu osób. Tymczasem przy elektrowni wiatrowej nikogo – podkreślał Krzysztof Tchórzewski, nowy minister energii.

Dlatego pod koniec roku ogłosił projekt nowelizacji ustawy o OZE, zakładający przesunięcie o sześć miesięcy wejścia w życie nowego systemu wsparcia. Dokument w ekspresowym tempie został przegłosowany w Sejmie i Senacie, a 31 grudnia podpisany przez prezydenta RP Andrzeja Dudę. – Zyskaliśmy czas, żeby wypracować dobre dla biogazowni rozwiązania. Dodatkowe pół roku umożliwi też przedsiębiorcom dokończenie inwestycji, których nie udało się oddać do użytku w 2015 roku. Tym samym będą mogli pozostać w starym systemie wsparcia, który, mam nadzieję, już wkrótce okaże się bardziej korzystny dla branży biogazowej – zapowiadał minister Tchórzewski. Wszystko wskazuje na to, że PiS dopracuje przygotowane wcześniej przez PSL rozwiązania. To z kolei nie podoba się innym producentom energii odnawialnej, zwłaszcza właścicielom małych elektrowni wodnych i instalacji przetwarzających biomasę. Według nich, nadpodaż zielonych certyfikatów, a tym samym niska cena, uderza bowiem w całą branżę OZE.

Czy więc rząd poszuka rozwiązania, które będzie korzystne dla wszystkich? Z wypowiedzi ministra Tchórzewskiego jasno wynika, że w najbliższych latach preferowana będzie produkcja energii z biogazowni i geotermii będących – w opinii PiS – najbardziej stabilnymi źródłami ciepła i prądu. ■

Kamila Perkowska
Fot. Tytus Żmijewski